

nr 5 (32)~Styczeń/Luty~Gazetka XVII LO w Warszawie

GONIEC ZAMOYSKI



W NUMERZE:

4 Zupełnie subiektywne podsumowanie roku 2014

8 Przypadek Władimira P.

14 Góra Śmierci – historia wyprawy Igora Diatłowa

22 Superbohaterowie jako twarz Ameryki

25 Historia Rapu – część druga

28 Symfonia Zmysłów. Illusio

39 Kącik językowy

40 Złote usta



/goniec.zamoyski



/GoniecZamoyski



goniec.zamoyski.blogspot.com



goniec.redakcja@gmail.com

Redaktor naczelny: Filip Φ. Świerczyński

Autorzy: Robert Bengsz, Filip Φ. Świerczyński, Konrad Sadowski, Robert Bengsz, Jakub Drożdż, Mateusz Kuchta, Paweł Krzyżewski, Natalia Kossakowska, Daniel Klimowicz

Skład i oprawa graficzna: Maria Wawreniuk

Projekt okładki: Filip Φ. Świerczyński

Opiekunowie redakcji: p. prof. Małgorzata Chylińska, p. prof. Emilia Kędziorek, p. prof. Agnieszka Mitura

Le roi est mort, vive le roi!

Drodzy Czytelnicy!

Zdawałoby się, że tak niedawno – a przecież już miesiąc temu – powitaliśmy Nowy Rok oraz...

A niech to... Niełatwo pisze się do Was z tej perspektywy. Wydukanie na klawiaturze pierwszego – tak okropnie niesubtelnego, nudnego i bez większego wyrefinowania – zdania zajmuje mi już przeszło dwadzieścia minut, a przecież doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że rok 2014 minął, że zaczął się 2015, że to najpospolitsza, najoczywistsza prawidłowość. Czy na sali jest ktoś, kto pierwsze słyszy? Ręk w górze nie widzę. Porzućmy więc formalności – burzmy stare schematy – i z miejsca przejdźmy do rzeczy ciekawszych i ważniejszych.

Pierwszy stycznia to magiczna data – i to nie tylko ze względu na rozpoczynanie Nowego Roku. To wówczas przedstawiciele klas trzecich zaczynają zdecydowanie mocniej odczuwać na swych karkach oddech niedającego im sypiać w spokoju upiora zwanego maturą. Wtedy też to na nas – rok młodszych kolegach – spoczywa święty obowiązek odciążenia ich i, co często przychodzi nam z trudem, zastąpienia w pełnieniu tych najbardziej odpowiedzialnych funkcji. Tak stało się i tym razem. Mamy już nowy Samorząd. Mamy i nowego redaktora naczelnego...

Na początku chciałbym podziękować wszystkim tym, którzy wspierali mnie i byli dla mnie niezastąpioną podporą, którzy zawsze służyli radą i pomocą – przyjaciółom, koleżankom i kolegom (oraz – jeżeli pozwolicie – pewnej Pani, do której z tego miejsca dyskretnie mrugnę).

Dziękuję również Redakcji i naszym Opiekunom – za zaufanie i wiarę.

Wreszcie – dziękuję z tego miejsca Robertowi, z którym przez ten rok (bądźmy dokładni: od kwietnia) miałem ogromną przyjemność, jako grafik naczelnny, współpracować. Na długo zapadną mi w pamięć nocne facebookowe rozmowy i dyskusje wywiązujące się podczas składania kolejnych „Gońców”. Wiedz, Robercie, że te nasze osiem wspólnych numerów to – cholera – kawał wspaniałej roboty! Obiecuję, że dołożę wszelkich starań, by godnie Cię zastąpić.

Przy okazji chciałbym również jeszcze raz – teraz już oficjalnie – powitać w gronie redakcji nową Panią Grafik. Marysia z pewnością Was nie zawiedzie – za jej zdolności mogę poręczyć głową, nogą, czymkolwiek chcecie.

Dobrze, macie rację, dosyć już tych patetycznych, czułych deklaracji i apostrof. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zaprosić Was, drodzy Czytelnicy, do zagłębienia się w artykułach – przystąpmy więc do czytania!

Φ.

3

zupełnie subiektywne podsumowanie 2014 roku

W momencie, w którym trzymasz w rękach ten numer, Czytelniku, wspomnienia z ubiegłego roku powoli wylatują z pamięci. To niezła okazja, by przygotować jego krótkie podsumowanie. Minione trzysta sześćdziesiąt pięć dni pod względem muzycznym było całkiem udane. Zapraszam do mojego subiektywnego rankingu. (Jeśli kogoś nie interesuje kolejne muzyczne przynudzanie, zapraszam kilka stron dalej.)

Zacznijmy od wpadek. W 2014 swoje najnowsze krążki wypuściło wiele dużo znaczących w środowisku nazwisk. Pomimo szumnych zapowiedzi „absolutnie jedynych, wyjątkowych płyt w karierze”, po premierze z obietnic zostawało niewiele.

top rozczarowania

Listę otwiera *Rock or Bust* AC/DC. Spotkałem się kiedyś z opinią, że jeśli słyszałeś choć jedną płytę od Briana Johnsona i ekipy, to tak naprawdę słyszałeś wszystkie. I *Rock or Bust* mnie w tym utwierdza. Co prawda nikt po czterdziestu latach nie oczekuje zmiany o 180 stopni i komponowania miłkiego pop-rocka dla nikogo, ale odrobina nowości wcale źle by nie zrobiła. (Brzmieniowo jest bardzo przewidywalnie.) Jest niezbędna energia, jest melodyjność, ale i duża dawka przewidywalności. Na dodatek album wydaje się robiony lekko na siłę. Trzydzieści pięć minut to mało. Do tej liczby dobijają niektóre EP-ki. Daleko mi do nazwania albumu „złym” czy nawet „trochę rozczarującym”. Jest średni. Z wyróżniających się utworów polecam singlowy *Play Ball*, *Dogs of War* z najlepszą solówką i *Rock the House*, który ma świetny riff.





Pośrodku wydawnictwo od zespołu, wokół którego wytworzyła się niezdrowa dawka *hype'u*. W połowie roku na sklepowe półki trafiły „opowieści o duchach”, pod którymi podpisał się Chris Martin. *Ghost Stories* od Coldplay to pokaz, jak można zmarnować spory kredyt zaufania. *X&Y*, *A Rush Of The Blood To The Head* i *Viva la Vida* były całkiem niezłe. *Mylo Xyloto* już rozczarowywało. Po trzech latach przerwy,

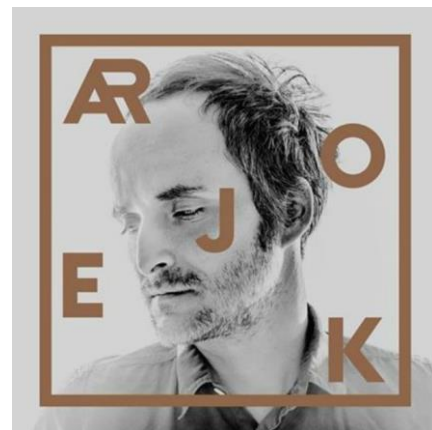
na krótkim *Ghost Stories* dostajemy raptem dziewięć utworów, z których żaden nie wznosi się ponad inne. Są to straszne smuty, dodatkowo wzbogacone nijaką i wtórną elektroniką. Wróć. Wyrzucmy ze smutów *A Sky Full of Stars*, które faktycznie może się podobać. Całokształt jednak jest na nie – od *Ghost Stories* wolę kolejne trzy lata przerwy.

Niechlubne miejsce numer jeden przypada U2 i ich *Songs of Innocence*. Miej zespół, który cieszy się popularnością na całym świecie. Dobrze. W latach swojej świetności wyznaczaj trendy. Dobrze. Miej charyzmatycznego lidera, który od czasu do czasu bawi się w działalność charytatywną. Bardzo dobrze. Zaskocz fanów, wypuszczając nowy krążek bez zapowiedzi. Świetnie. Zaskocz fanów, wypuszczając nowy krążek ze straszną chałą. Źle. Wepchnij go na siłę wszystkim użytkownikom sprzętu Apple. Bardzo źle. Pomysł na promocję w skali swojej genialności plasuje się gdzieś niedaleko „otwórzmy w Mekce restaurację ze schabowymi”. Nijakość, brak pomysłu, nuda. Całość brzmi jak raczkujący na rynku muzycznym zespół, który usilnie próbuje grać jak U2. *Nope, nope, nope.*



top zachwyty

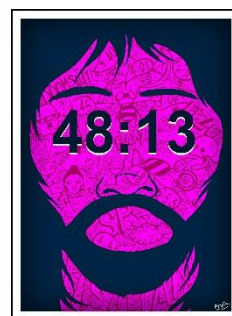
Top of the top na czwartej pozycji otwiera solowy album Artura Rojka *Składam się z ciągłych powtórzeń*. Premiera jego pierwszego solowego wydawnictwa zaliczona została do najważniejszych wydarzeń na polskiej scenie muzycznej. Jak sobie radzi Rojek bez Myslovitz? Mniej więcej tak samo, jak Myslovitz bez niego – nieźle. Krążek nie zawodzi oczekiwań, umiejętnie łącząc jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich głosów, oryginalność brzmień i emocje, uczucia, refleksje obecne w tekstach Rojka. Single *Beksa* i *Syreny* na pewno zaliczają się do lepszych wydanych w mijającym roku.



Na trzecią pozycję trafiają muzycy z The Black Keys. Maj to moment popełnienia przez nich *Turn Blue*. Przyznaję, jedyny album jaki znam to czteroletnie *El Camino*. Jednak nawet ja widzę dużą różnicę między tymi dwoma wydawnictwami. Świetne, wyraziste, mocne rytmy ustąpiły miejsca spokojniejszym, bardziej klimatycznym dźwiękom. O ile *Fever* mogłoby jeszcze trafić na *El Camino*, tytułowy singiel (i w mojej ocenie najlepszy moment całej płyty wraz z *Bullet In The Brain*) to już inne muzyczne rejony.

Rozpoczynający płytę *Weight of Love* mógłby śmiało promować album. Umiejętność połączenia bluesowych brzmień z amerykańskim, garażowym rockiem nie zanikła. Najbliższa okazja, by sprawdzić jak brzmią The Black Keys już niedługo – 21 lutego grupa wejdzie na scenę w hali Torwar.

Tej płyty nie mogło tu zabraknąć. (Poziom subiektywizmu niebezpiecznie wzrasta.) Między The Black Keys a... (doczytacie sobie) z całą siłą wszechobecnego u nich ostatnio różu wpada kwartet z Leicester ze swoim *48:13*. Po trzech latach do gry wraca Kasabian. Ze zdwojoną siłą. Po znakomicie przyjętym *Velociraptorze!* i trzech poprzedzających go płytach wyraźniej niż poprzednio muzycy skłaniają się w stronę elektroniki. Czterdzieści osiem minut trzynaście sekund muzyki stanowi przekrój przez szerokie pojęcie



wrażenia „muzyka elektroniczna” i dotychczasową dyskografię zespołu. Są świetne petardy koncertowe jak *eez-eh*, *bumblebee* i *stevie* (które typują na *future classics* zespołu). Są nastrojowe, zalatujące psychodelią *glass* i *explodes*. Łączące psychodelię i taneczne rytmy *treat*, zalatujące latami 90. *bow* i taneczne *doomsday*. Jest monumentalizm i lekko beatlesowskie brzmienia w *clouds*, i zamykające album leniwe *s.p.s.* Całość przerywana krótkimi instrumentalnymi interludiami. Bardzo, bardzo na tak. I pewnie byłby to mój tegoroczny numer jeden, gdyby nie...

Zdobywca złotego medalu jest co najmniej kontrowersyjny. Liczba osób zachwyconych nowym materiałem jest mniej więcej równa liczbie osób gotowych obrzucić Davida Gilmoura stekiem wyzwisk. Pierwsze miejsce to *r* od Pink Floyd. Na krążek trafił materiał, który w latach pięćdziesiątych rejestrowany był podczas sesji do *The Division Bell*. Nie są to jednak „odrzuć” – zawartość *TER* planowano wydać jako oddzielny album. Tak się jednak nie stało, a nagrania trafiły do szuflady z przeznaczeniem „na kiedyś”. To właśnie to zarzucają muzykom krytycy. Panowie Gilmour i Mason pogrzebali w archiwach (notabene, gdyby pogrzebali jeszcze więcej, jeszcze trochę zapomnianych nagrań pewnie by się znalazło), odświeżyli brzmienie, dograli promujące całość (i absolutnie *cu d o w n e*) *Louder than Words* i puścili na rynek. Przecież *hajs się musi zgadzać*.

Jednak nowego albumu PF nie można rozpatrywać w kategorii pełnoprawnego powrotu zespołu do świata „żywych muzycznie”. Cytując klasyka: „są w życiu rzeczy ważniejsze, niż twoje trzysta baniek”. Motyw przewodni to hołd oddany zmarłemu w 2008 roku Richardowi Wrightowi, keyboardziście zespołu. To, że to „jego” album słyhać bardzo wyraźnie. Klawisze stanowią integralną część muzyki. Najjaśniejszymi punktami albumu są *Anisina*, obie części *Allons-y* (1 i 2), *Autumn '68*, elektroniczny *Calling* i jedyny utwór ze słowami: *Louder than Words*. Ale i pozostałym kompozycjom niczego nie brakuje. *The Endless River* stanowi dla Floydów sposób powiedzenia: „Żegnaj, Richard, żegnajcie, fani. To koniec”. Piękne podsumowanie kariery. To kompletnie nierealne, ale poproszę o więcej. Dziesięć na dziesięć z czystym sumieniem.

K.

PRZYPADEK WŁADIMIRA P.



Nieprzerwanie od roku nazwisko rosyjskiego prezydenta widnieje codziennie na nagłówkach największych gazet. Putina widzi się w telewizji, słyszy się o nim w radiu, jest obecny także na portalach informacyjnych. Jednak już znacznie wcześniej postać ta wywoływała skrajne emocje. Dlaczego gospodarz Kremla, przywódca największego kraju na świecie budzi tak wielki respekt u jednych i nienawiść u drugich?

Soczi, 7 lutego 2014 roku. Nic nie zapowiada obecnego stanu rzeczy. Nie widać końca protestów na kijowskim Majdanie. Coraz więcej osób jest zdania, że z czasem sytuacja na Ukrainie powróci do normy. Tymczasem oczy ponad miliarda widzów skupione są na ceremonii otwarcia XXII Zimowych Igrzysk Olimpijskich, odbywających się w czarnomorskim kurorcie. O Władimirze Putinie, wzmocnionym po ostatnich sukcesach dyplomatycznych, politycy i publicyści wypowiadają się w samych superlatywach. W prasie pisze się o nowym, nowoczesnym obliczu Rosji, choć niepozabawionym wad i absurdów. W Internecie krążą zdjęcia podwójnych, sprzyjających integracji toalet, fatalnie wykończonych pokojów, zapadających się chodników i jezdni.

Informacje te szybko zeszły na dalszy plan w obliczu rozpoczęcia długo

wyczekiwanym Igrzysk. W przemówieniu podczas ceremonii otwarcia przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego Thomas Bach długo dziękował Putinowi za organizację imprezy. Niemiec stwierdził, że bez osobistego zaangażowania rosyjskiego prezydenta „Igrzyska nie doszłyby do skutku”. Sama ceremonia i przygotowany specjalnie na nią efektowny pokaz, zapewne pod nadzorem samego prezydenta, miały być świadectwem potęgi i rozwoju Rosji. Miały. W pamięci widzów utkwiły nie występy baletników, nie błyskotliwe przedstawienie historii Rosji, lecz nieotwarcie się jednego z kółek olimpijskich w gigantycznej metalowej konstrukcji. Z pewnością nie było to po myśli gospodarza Kremla.

Od 1999 r., kiedy Władimir Putin przejął z rąk Borysa Jelcyna obowiązki prezydenta Federacji Rosyjskiej, postać ta interesuje kolejne rzesze ciekawskich. To postać tajemnicza – o rodzinie, życiu prywatnym i majątku Putina nie wiemy właściwie nic. To postać nieprzewidywalna – w ciągu jednego dnia potrafi zmienić swoje stanowisko o 180 stopni. Kim jest gospodarz Kremla, przywódca największego kraju na świecie, zajmującego siódmą część świata?



Gruzja, zegarek, KGB

Władimir Władimirowicz Putin urodził się 7 października 1952 roku w Leningradzie, dzisiejszym Sankt Petersburgu. Przynajmniej oficjalnie. Dzieciństwo rosyjskiego prezydenta bowiem owiane jest wielką tajemnicą. Wiele osób, w tym opozycyjnych dziennikarzy, jest przekonanych, że Maria i Władimir Putinowie to tylko rodzina zastępcza Władimira juniora. Według jednej z alternatywnych, nieoficjalnych wersji wydarzeń, Putin miał się urodzić dwa lata wcześniej w rodzinie alkoholika. Gdy ten zmarł dwie wiosny później, matka, mająca zwać się Wiera Nikołajewna, wyjechała z małym synem do Uzbekistanu, gdzie poznała odbywającego tam służbę wojskową Gruzina. Po jej zakończeniu powrócili razem do Gruzińskiej SRR, do miasteczka Metechi, gdzie młody Władimir miał spędzić kolejne 7 lat swojego naznaczonego trudem dzieciństwa. Z nie do końca znanych powodów w wieku 10 lat przyszedł rosyjski prezydent miał trafić do rodziny zastępczej mieszkającej w Leningradzie, Marii i Władimira Putinów. Małżeństwo posiadało już w przeszłości synka, Wiktora, ten jednak zmarł w wieku 2 lat z niedożywienia podczas oblężenia Leningradu przez Niemców w 1941 roku.

Aby Władimir junior mógł uniknąć problemów w edukacji, nowi „rodzice”, w celu oszczędzenia synowi kolejnych traum, zmienili w metryce rok jego narodzin na 1952. Tym sposobem mógł z powrotem uczyć się w pierwszej klasie podstawówki, w Leningradzie, gdzie poziom nauczania znacząco odbiegał od norm z gruzińskiej prowincji.

W szkole Putin nie był wybitnym i szczególnie zdolnym uczniem. Był wyszydany przez klasowych kolegów z powodu matki. Także na podwórku w leningradzkiej kamienicy początkowo niezbyt sobie radził. Dokuczali mu starsi koledzy. Rodzice,

dostrzegając kolejne problemy Władimira, rozpieszczali syna kolejnymi prezentami. Podobno jako jedyny w swojej szkole miał własny zegarek.

Wowa, bo tak go nazywano, od początku marzył o karierze w wywiadzie. Do tego nie potrzeba było pilnej, intensywnej nauki. Mimo to nauczyciele nie wróżyli Putinowi wielkiej kariery. Sądziли nawet, że może stoczyć się na drogę przestępczości.

Po skończeniu nauki w szkole Władimir rozpoczął studia prawnicze na leningradzkim uniwersytecie. Tam odkryli go agenci Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego (z rosyjskiego: Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti, czyli KGB). W czasie studiów zapisał się do Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Po ich ukończeniu rozpoczął pracę w bezpieczeństwie.

Jako oficer operacyjny KGB Władimir Putin przez 5 lat mieszkał i służył w Niemieckiej Republice Demokratycznej, w NRD. Oficjalnie zatrudniony był jako dyplomata, *de facto* zajmował się infiltracją lokalnych struktur Stasi, słynnej wschodniemieckiej służby bezpieczeństwa.

Z tego okresu do dziś zachowało się kilka zdjęć. Żadne nie zostało potwierdzone przez Putina, ani przez Kreml, że rzeczywiście jest tam dzisiejszy prezydent Rosji. Również żadne zdjęcie nie przedstawia Putina w pozytywnym świetle. Na jednym z nich, pochodzącym z wiosny 1988 roku, agent KGB stoi jako „turysta” obok Ronalda Reagana, przebywającego wówczas z misją dyplomatyczną w Związku Radzieckim. Ubrany w koszulkę polo, z aparatem na szyi, Władimir Putin zdaje się niczego nie podejrzewać u amerykańskiego prezydenta. Według relacji świadków młody blondyn zadał wtedy Reaganowi kilka pytań o... respektowanie praw człowieka w USA. Dziwne pytania jak na turystę. Druga słynna fotografia pochodzi z marca 1989 r. i rzekomo przedstawia Putina przyglądającego się palowaniu przez milicjantów radzieckich opozycjonistów. Nie można jednak całkiem potwierdzić autentyczności tych zdjęć i tego, czy rzeczywiście jest tam dzisiejszy prezydent Rosji. Obie fotografie wykonano w latach, kiedy Putin miał przebywać nie w ZSRR, tylko w NRD.

Na innych zdjęciach Putin z reguły stoi gdzieś z tyłu, przyczajony, jakby miał podsłuchiwać rozmowę osób z pierwszego planu. Na jednym zaś czyta gazetę. Pytanie tylko, czy rzeczywiście to robi, czy jednak to tylko przykrywka.



Droga na szczyt

W latach 90., po rozwiązaniu KGB, kariera Putina rozkręciła się na dobre. W 1990 r. znalazł pracę jako doradca nowo wybranego mera Leningradu, Anatolija Sobczaka. Błyskawicznie stał się jego zastępcą, odpowiedzialnym za kontakty międzynarodowe i inwestycje z zagranicy. Na tym stanowisku dostrzegł go Borys Jelcyn, pierwszy prezydent Federacji Rosyjskiej i ściągnął go do siebie do Kremla. Przez dwa lata Putin pracował na wysokim stanowisku w administracji prezydenta, po czym w 1998 r. awansował na szefa Federalnej Służby Bezpieczeństwa (sukcesorki KGB).

W ciągu tych ośmiu lat Putin zyskał sobie zaufanie swoich przełożonych. Za każdym razem go popierali i wstawiali się za nim, gdy tylko ten otrzymywał nowe propozycje pracy. Jako szef FSB, gdzie przywrócił porządek jak za starych, radzieckich czasów, zyskał całkowite poparcie Jelcyna. Dlatego w sierpniu 1999 r. został powołany na stanowisko premiera. Jedną z jego pierwszych decyzji jako szefa rządu było ponowne wprowadzenie wojsk rosyjskich na terytorium Czeczenii.

W tym samym czasie stan zdrowia prezydenta znacznie się pogorszył. Borys Jelcyn, słynący ze zbyt częstego zaglądania do kieliszka nawet podczas oficjalnych zagranicznych wizyt, nie był w stanie dłużej kierować siódmą częścią świata. W ostatni dzień drugiego tysiąclecia zrezygnował z pełnienia funkcji prezydenta. Na swojego następcę namaścił młodego szefa rządu, który do czasu wyborów prezydenckich przejął obowiązki głowy państwa. Jak się okazało, głosowanie było tylko formalnością.



ZSRR 2.0?

W pierwszym miesiącu pełnienia obowiązków prezydenta Federacji Rosyjskiej Władimir Putin przywrócił stary, radziecki hymn, a dokładniej jego melodię. Słowa zostały zmienione, skasowano nawiązania do idei socjalistycznych i dziedzictwa Włodzimierza Lenina. Przywróceniem starych melodii Putin od początku zyskał sobie poparcie komunistów, wciąż stanowiących w Rosji pokazną siłę polityczną.

Cały okres „panowania” Władimira Putina można nazwać częściowym powrotem do radzieckości. Z wielką pompą, bo gigantyczną defiladą wojskową, co rok świętuje się rocznicę zwycięstwa nad III Rzeszą. Dzień wcześniej wojskowe myśliwce przeczesują niebo rosyjskiej stolicy, aby w dzień defilady nie było na nim żadnej chmury. Tego dnia również centrum Moskwy jest sparaliżowane – główne ulice zajmują czołgi i ciężarówki z ciężkim wojskowym sprzętem, specjalnie przybyłe z dalekiej Rosji na defiladę.

Powrót radzieckości to także powrót sowieckich doktryn wojskowych. Putin odszedł od polityki odprężenia Borysa Jelcyna. Największym wrogiem Moskwy ponownie stało się NATO. Władimir Putin to typowy przedstawiciel *homo sovieticus*, a zatem człowieka przekonanego o wrogich zamiarach Zachodu względem Mateczki Rosji, obrończyni starego ładu, idei marksizmu-leninizmu, a od niedawna także jedynej słusznej wiary prawosławnej. Takie przeświadczenie wyniósł z radzieckiej szkoły, a przede wszystkim ze służby w KGB. Nie jest jedyną osobą, która właśnie tak postrzega świat – myśli tak do dziś większość Rosjan, którzy przecież również wychowali się w Związku Radzieckim, ojczyźnie leninizmu i realnego socjalizmu, kraju, który pokonał faszyzm i hitleryzm.

Związek Radziecki upadł, kiedy Putin był w kwiecie wieku. Owszem, gdyby nie rozpad ZSRR, zapewne nie zrobiłby takiej oszałamiającej kariery politycznej. Zapewne swoją karierę skończyłby jako wysoki oficer KGB, a przy wielkim szczęściu jako członek Politbiura. Ale to właśnie wtedy u Putina ukształtował się obecny pogląd na świat. Rozpad ZSRR był szokiem dla Rosjan – to tak jakby Amerykanie stracili nagle USA. Także Putin musiał przeżyć to wydarzenie – w ciągu kilku miesięcy rozpadło się największe mocarstwo świata, ojczyzna socjalizmu, która dała mu pracę, której wiernie służył. Ideały, w które wierzył, podobnie jak inni radzieccy obywatele, zniknęły i straciły sens.

Jednym z takich ideałów była przyjaźń między narodami i internacjonalizm. Putin wychował się w kraju, gdzie kultywowano budowanie nowego narodu, narodu robotników, chłopów i socjalistycznych inteligentów. Jednocześnie akcentowano silny związek Rosjan z innymi narodami zamieszkującymi Związek Radziecki – Ukraińcami, Białorusinami czy Gruzinami. Z Ukraińcami Rosjan łączyła wspólna przeszłość i historia – Ruś Kijowska, kolebka rosyjskiej państwowości, antypolskie powstanie Chmielnickiego, ugoda perejasławska, wojny z Turkami w XVIII wieku.



Noworosja to nie wymysł Putina

Właśnie wtedy, w czasach walk z Imperium Osmańskim, powstało znane nam dobrze dziś pojęciu „Noworosji”. Były to ziemie zdobyte przez Imperium Rosyjskie z rąk Turków – dzisiejsza wschodnia Ukraina, czarnomorskie wybrzeże, Krym. Ówczesnie tereny te zamieszkiwane były w większości przez Tatarów. Od początku XIX wieku trwała intensywna kolonizacja tych ziem przez Rosjan i Ukraińców – za zgodą władz Imperium.

Problem, który nie został wówczas rozwiązany, ujawnił się na początku lat 90. XX wieku. Wówczas okazało się, że miliony Rosjan po upadku ZSRR znalazło się poza granicami Rosji. Rosyjskojęzyczne Donbas i Krym przypadły nowo powstałej Ukrainie, która tych ziem nigdy nie posiadała – nie było bowiem nigdy państwa ukraińskiego. Wcześniej ziemie te wchodziły w skład Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, ale wtedy nie było z tym problemu, ponieważ republika stanowiła integralną część radzieckiego imperium. Od dwudziestu lat mieszkańcy Krymu i Donbasu zależni byli od woli Ukraińców. To oni decydowali w wyborach, czy kraj obierze kurs prorosyjski czy proeuropejski. Kiedy przyjmował ten drugi, Rosjanie zamieszkujący wschodnią i południową Ukrainę żyli w kraju realizującym przeciwne interesy, niezgodne z ich sumieniem i poglądami.

Kiedy władzę na Ukrainie zbrojnie przejęli euroentuzjaści, zwolennicy przystąpienia do UE i NATO, a zarazem popierający odcięcie się od Rosji, oczywiste było, że na Krymie i wschodniej Ukrainie dojdzie do protestów. Sytuację tę szybko dostrzegł Putin, który nowe ukraińskie władze uznał za zagrożenie dla rosyjskich interesów. Zaczął wspierać prorosyjski separatyzm na Ukrainie i destabilizować kraj, licząc przynajmniej na złagodzenie kursu nowej elity rządzącej. Przystąpienie Ukrainy do NATO byłoby dla Rosji śmiertelnym zagrożeniem – w ten sposób USA, wchodzące w skład Sojuszu, zyskałyby granicę lądową z Rosją. Amerykańskie czołgi byłyby w stanie dojechać do Moskwy w ciągu kilkunastu godzin. W Rosji, gdzie dalej dominuje radziecki światopogląd, taka sytuacja jest nie do zaakceptowania.

Władimir Putin jest nieprzewidywalnym politykiem – to trzeba przyznać. Jako prezydent nie przykładą wagi do czasu – notorycznie i nagminnie spóźnia się na oficjalne uroczystości, spotkania, mityngi z dziennikarzami. Ale to prezydent, najważniejsza osoba w kraju. To ludzie mają czekać na niego, a nie on na ludzi. Rządzi twardą ręką. W Rosji, gdzie nie ma zbyt wielu demokratycznych tradycji, gdzie przez wieki twardą ręką rządzili carowie, a potem sekretarze generalni Partii, taki typ przywódcy sprawdza się najlepiej. I to widać – Putin cieszy się wśród Rosjan ogromnym poparciem, godnym pozazdroszczenia przez zachodnich polityków. To dlatego, że realizuje interesy Rosjan – *homines sovietici*. Ludzi takich jak on.

Robert Bengsz



GÓRA ŚMIERCI

historia wyprawy Igora Diatłowa

I Ekspedycja

25 stycznia 1959 roku. Dziewięcioosobowa grupa radzieckich studentów Uralskiego Instytutu Politechnicznego w Swierdłowsku (współcześnie Jekaterynburg) wyrusza wraz z przewodnikiem na narciarską wyprawę w północną część Uralu. Celem jest szczyt Otorten (1234 metry n.p.m.).

Uczestnicy ekspedycji są doświadczeniymi, młodymi ludźmi. Najstarszy z nich, przewodnik Aleksander Zołotariow, ma zaledwie 37 lat, reszta nie ukończyła jeszcze 26. roku życia. Wyprawą dowodzi Igor Diatłow, alpinista i narciarz, dwudziestotrzylatek. Prócz Zołotariowa i Diatłowa w skład załogi wchodzi: Zianida Kołmogorowa (22 lata, studentka wydziału radiowego), Ludmiła Dubinina (21 lata, studentka ekonomii), Aleksandr Kolewatow (25 lat, student wydziału technicznego), Rustem Słobodin (23 lata, student wydziału inżynierskiego), Jurij Kriwoniszczenko (24 lata, student wydziału inżynierskiego), Jurij Doroszenko (21 lat, student ekonomii), Nikołaj Thibeaux-Brignolle (24 lata, student wydziału inżynierskiego), Jurij Judin (w chwili wyprawy 21 lat, student ekonomii).

25 stycznia ekspedycja dociera pociągiem do miasta Iwdiel położonego około 535 km od Swierdłowska. Dzień później ciężarówka zabiera uczestników do najdalej wysuniętej na północ zamieszkałej osady w rejonie – wsi Wiżaj. Paturszew – pilot, którego studenci poznają na miejscu – przestrzega grupę przed wędrowką. Okoliczne tereny nie cieszą się dobrą sławą, ponadto pogoda zdaje się pogarszać, a temperatura



spadać, jednak Diatłow zbytnio się tym nie przejmuje. Ambitny alpinista ma zamiar zorganizować w przyszłości wyprawę do Arktyki. Narciarz planuje zdobyć Otorten i 12 lutego wrócić do wioski. Po przenocowaniu, 27 stycznia wyprawa rusza w stronę szczytu.

Już pierwszego dnia wędrówki Jurij Judin choruje, co zmusza go do powrotu do Wiżaju. Jak się wkrótce okaże, będzie on jedynym członkiem wyprawy pozostałym przy życiu...

31 stycznia ekspedycja Diatłowa wędruje wzdłuż rzeki Auspia. Wkrótce dociera na krawędź piętra wysokogórskiego. Studenci budują mały schron, gdzie pozostawiają zapasy żywności na drogę powrotną i maszerują dalej.

Wieczór, 1 lutego. Wyprawa dociera na zbocze góry Cholat Sjakl. W kulturze Mansów – miejscowego ludu – nazwa ta oznacza dosłownie „Górę Umarłych”. Diatłow zakładał ominięcie góry i przejście przez pobliską przełęcz, jednak pogarszająca się z minuty na minutę pogoda zmusza go do podjęcia innej, zdawałoby się, bardziej racjonalnej decyzji. Wraz z załogą zbacza z kursu i znalazłszy się około godziny 17:00 na zboczu góry Cholat Sjakl, rozbija obóz, w którym planuje przeczekać złe warunki. Uczestnicy zdają się być niewzruszeni i w doskonałych humorach, spożywają posiłek oraz sporządzają notatki w dzienniku wyprawy.

Na dwadzieścia dni słuch po ekspedycji Diatłowa ginie. Coś bardzo złego dzieje się wówczas na stokach ponurej góry...

Zgodnie z planami Diatłowa, powrót z wyprawy miał nastąpić najpóźniej 12 lutego. Alpinista obiecał znajomym, że po zdobyciu Otortenu i dotarciu z powrotem do Wiżaju wyśle do nich telegram z zawiadomieniem o sukcesie. Diatłow nigdy go jednak nie napisał.

Po dwudziestu dniach bez otrzymania żadnej wieści, 20 lutego Uralski Instytut Politechniczny pod naciskiem rodzin uczestników wyprawy wysyła pod Otorten ekspedycję ratunkową złożoną z wykładowców i studentów. Niebawem działania wspiera milicja i wojsko. Do poszukiwań włączone zostają śmigłowce i samoloty. Sześć dni później ekipy poszukiwawcze wreszcie odnajdują obozowisk.

II. Namiot i ciała

Namiot należący do Diatłowa i jego towarzyszy jest poważnie uszkodzony. Jego bok zostaje rozcięty – jak później ustalą biegli – od wewnątrz. Studenci pozostawili w środku swoje osobiste rzeczy oraz cały ekwipunek – łącznie z częścią ubrań. Wygląda na to, że alpinści mroźną nocą uciekli w popłochu z bezpiecznego schronienia. Od namiotu w stronę odległych o mniej więcej półtora kilometra sosen na skraju lasu prowadzą ślady stóp – bosych, w skarpetkach lub jednym bucie – jednak po około pięciuset metrach urywają się, znikając pod śniegiem. Poza tym na zboczach góry Cholat Sjakl nie ma śladów nikogo



obcego. Nie ma też żadnych pozostałości po walce czy szamotaninie między uczestnikami wyprawy.

Nocami temperatura na górze Cholat Sjakl i Otortenie spada zazwyczaj do około -30 stopni Celsjusza.

Ekspedycja ratunkowa dociera do sosen, w stronę których prowadziły ślady. Odnajduje tam szczątki małego ogniska oraz zwłoki Kriwoniszczunki i Doroszenki - bose, z poparzonymi rękami, ubrane jedynie w bieliznę. Na całym ciele mają podrapania i liczne sińce. Ich skóra ma nietypowo żółto-pomarańczowy kolor. Z nosa i ust Doroszenki wydobywa się sina piana (nie cierpiał na epilepsję). Gałęzie jednego z drzew, pod którymi leżeli, są połamane. Według ustaleń ratowników jeden ze zmarłych próbował się na nią wdrapać, prawdopodobnie, by zobaczyć coś z większej wysokości.

Po odkryciu ciał członkowie wyprawy ratunkowej kierują się z powrotem w stronę namiotu. Po przebyciu trzystu metrów od sosen odnajdują zamrożonego Diatłowa. Sto osiemdziesiąt metrów od niego leży martwy Słobodin. Sześćset trzydzieści metrów od resztek ogniska ciało Kołmogorowej. Pozy, w których ratownicy ich odnajdują, wskazują na to, że chcieli oni wrócić do rozdartego namiotu.

Diatłow zmarł jako pierwszy. Jego skóra miała ciemnobrązowy kolor. Kołmogorowa doszła najdalej – do namiotu zostało jej około trzystu metrów. Miała krwotok z nosa. Jej cała twarz była pokaleczona (kilkadziesiąt rozcięć o długości centymetra lub dwóch, głównie na czole i policzkach). U leżącego między nimi martwego Słobodina również widoczny krwotok z nosa, ponadto – według nieoficjalnej wersji - ślady walki na pięści (biegłi orzekną potem, że on także zmarł na skutek hipotermii). Telegram wysłany przez ekipę poszukiwawczą informuje o urazie głowy. W sekcji zwłok nie ma o nim żadnej wzmianki. Oficjalnie wszyscy zmarli na skutek hipotermii – zmarli na śmierć.

Od ostatniego znaleziska mijają miesiące. Wreszcie 4 maja ekipy poszukiwaczy odnajdują kolejny trop. W jarze, około dziesięć minut drogi od prowizorycznego ogniska, pod grubą warstwą śniegu odnalezione zostają cztery pozostałe ciała. Wszystko wskazuje na to, że zmarli alpiniści zdecydowali się spędzić w tym miejscu noc



– ze szczytów ściętych choinek układali na śniegu łóżka polowe. Zołotariow i Thibeaux-Brignolle byli ubrani najcieplej – jako jedyni mieli buty. Niektórzy ze zmarłych mieli na sobie ubrania kolegów. Aleksander Zołotariow był ubrany w futro, które prawdopodobnie należało do Dubininy. Ta z kolei owinęła stopy częściami garderoby Kriwoniszczenki. Stan niektórych części odzieży wskazywał na to, że musiały one zostać zdjęte szybko i za pomocą siły – tak, jak gdyby zrywano je w wielkim pośpiechu.

Ludmiła Dubinina odniosła obrażenia w postaci dziesięciu złamanych żeber oraz połamanego obojczyka, przy czym w miejscach złamań wystąpiły rozległe krwotoki do mięśni międzyżebrowych. Biegli stwierdzili także uraz kości ciemieniowej wraz z tkanką miękką. W prawej komorze serca krwotok. W opłucnej około 1,5 litra płynu z krwią. Na lewym udzie duży siniec. Język Dubininy był odgryziony. W chwili znalezienia jej ciała brakowało gałek ocznych oraz połowy twarzy.

Aleksandra Zołotariowa znaleziono z pięcioma połamanymi żebrami. W okolicy ciemieniowej nastąpił ubytek tkanek miękkich, widoczne były odsłonięte kości. Podstawa nosa była spłaszczona. W opłucnej litr płynu z krwią. Również stwierdzono krwotok do mięśni międzyżebrowych. Ponadto ciała brakowało gałek ocznych.

Ciało Nikołaja Thibeauxa-Brignolle'a w chwili znalezienia miało pękniętą czaszkę z rozległym krwotokiem na prawej skroni. Fragment kości skroniowej Bringolle'a był wciśnięty w jamę czaszki. Jego gałki oczne były zapadnięte w oczodoły, ponadto na prawym ramieniu widoczny był krwiak.

Pełne wyniki sekcji zwłok Aleksandra Kolewatowa nie zostały odtajnione. Wiadomo, że ciało miało ranę o szerokości 4 cm i długości 5,5 cm na prawym policzku. Taką samą za prawym uchem. Cała skóra była pomarszczona.

Mimo rozległych obrażeń wewnętrznych, ciała ofiar znalezionych w jarze nie nosiły niemalże żadnych znamion zewnętrznych okaleczeń czy ran. Jak opisali później patomorfologodzy, obrażenia były niemalże identyczne do odnoszonych na skutek wypadków drogowych – czyli spowodowanych uderzeniem dużej siły (której z pewnością nie może posiadać inny człowiek).

III. Osobliwości związane ze śledztwem

W międzyczasie szef grupy dochodzeniowej odmawia podpisania się pod dokumentacją prac i podaje się do dymisji. Innego nadgorliwego śledczego odsuwa się od sprawy. W maju 1959 roku śledztwo zostaje umorzone, a większość dokumentów trafia do tajnego archiwum (władze ZSRR twierdziły, że całość dokumentacji jest ogólnodostępna). Ciała zmarłych chowa się w metalowych trumnach. Trasa zostaje zamknięta na trzy następne lata. Z powodu braku jakiegokolwiek dalszego postępu w śledztwie, jako przyczynę śmierci alpinistów w oficjalnych komunikacie podaje się „działanie nieznanej siły”.

IV. „Fundacja Diatłowa”

Po zamknięciu śledztwa członkowie rodzin ofiar założyli specjalną fundację, którym celem jest ustalenie prawdy o tym, co zaszło w nocy z pierwszego na drugiego

lutego 1959 roku. Kierownik „Fundacji Diatłowa” Jurij Kuncewicz tak wspomina tamte wydarzenia: „Miałem wtedy 12 lat, ale pamiętam dobrze, jaki oddźwięk miały te zdarzenia, mimo starań, jakich dokładały władze, by uciszyć śledczych i rodziny ofiar (...)”.

V. Chronologia zdarzeń

Udało się ustalić przybliżoną chronologię zdarzeń. Nad ranem 2 lutego (według innej wersji było to wieczorem, tuż przed pójściem spać) grupa wędrowców nagle i w pośpiechu opuściła namiot, rozciąwszy jego bok. Studenci i Zołotariow (w większości w niekompletnych strojach, wielu bez butów i skarpetek) dotarli do rosnącej około 1,5 km od namiotu olbrzymiej sosny na skraju lasu. Rozpalili ognisko. Pozostali tam przez około dwie godziny, co jakiś czas wymieniając między sobą ubrania, których dla znacznej części brakowało. Ktoś z członków grupy próbował prawdopodobnie wspiąć się na drzewo i zobaczyć, co dzieje się tak, skąd przybiegli – wskazują na to odnalezione połamane gałęzie.

Kriwoniszczenko i Doroszenko zamarzli. Diatłow, Kołmogorowa i Słobodin podjęli próbę powrotu do namiotu, jednak podzielili los towarzyszy, umierając na skutek hipotermii. Pozostali przy prowizorycznym ognisku zmarli ze zmarłych Kriwoniszczenko i Doroszenko ubrania. Postanowili skryć się głębiej w lesie. Błądząc w mroku, wpadli do jaru. Francuz Thibeaux-Brignolle zginął od razu, zaraz po nim Dubinina. Zołotariow, by się ogrzać, zmarł z jej ciała kurtkę, niebawem jednak i on zamarzł. Ostatni z wyziębienia zmarł Kolewatow.

VI. Teorie

Nigdy nie udało się wyjaśnić, dlaczego Diatłow i pozostali członkowie wyprawy opuścili namiot.

Jedna z teorii zakłada, że przyczyną śmierci mógł być atak Mansów, którzy – poirytowani faktem wdarcia się na ich tereny – mogli napaść na wędrowców. Przeczy jej fakt, że nigdy wcześniej nie zaobserwowano agresywności tego ludu wobec nieuzbrojonych obcych przemierzających ich ziemię. Wyklucza się też to, by mógłby to być atak w odwecie za profanację miejsca kultu – Góry Umarłych – brak bowiem jakichkolwiek śladów obecności Mansów. Należy pamiętać – co wykazała obdukcja lekarska - że obrażeń, które otrzymali członkowie grupy, nie mógł według biegłych zadać człowiek.

Ciała oddane rodzinom ofiar tragedii miały nienaturalnie żółto-pomarańczową barwę. Mówiono również o siwych włosach oraz poważnych uszkodzeniach wzroku. Ponadto zwłoki wykazały radioaktywność i skażenie promieniotwórczym izotopem potasu - ^{40}K . Zabarwienie skóry oficjalna wersja tłumaczy zmianami pośmiertnymi lub poparzeniami słonecznymi. Do napromieniowania i skażenia miało rzekomo dojść już na Politechnice Uralskiej, tuż przed wypadkiem.

Nie ustalono tego, w jaki sposób powstały obrażenia ofiar znalezionych w jarze. Miał on zaledwie około 5 metrów głębokości – zdecydowanie zbyt mało, by ofiary mogły doznać tak rozległych wewnętrznych ran. Według lekarzy nie mogły być też one spowodowane pobiciem.

Na miejscu zdarzenia odnaleziono dziwne metalowe części (oficjalna wersja traktuje je jako części starej wieży radarowej). Wojskowi zaprzeczyli jednak, by w tamtym czasie prowadzono jakiegokolwiek działania, manewry lub testy broni czy sprzętu w tak trudnodostępnych rejonach Uralu. Północny Ural leżał w głębi terytorium ZSRR – w jego pobliżu nie było żadnych baz lotniczych. Najbliższa z nich znajdowała się niedaleko Swierdłowska, ponad 600 kilometrów od miejsca zdarzenia.

Niektórzy sceptycy stawiają hipotezę, że przyczyną śmierci alpinistów była lawina. Stok, na którym członkowie ekspedycji rozbili namiot, był zbyt płaski, by mogła ona po nim zejść. Ponadto lider wyprawy Diatłow i przewodnik wysokogórski Zołotariow – obaj doświadczeni – ustawili namiot w miejscu, gdzie zagrożenia lawinowego teoretycznie nie było. Nie znaleziono żadnych śladów na poparcie tej teorii.

Donnie Eichar, amerykański producent filmowy, postawił w 2013 hipotezę, że do opuszczenia namiotu przez członków ekspedycji przyczyniły się infradźwięki – te miałyby być spowodowane wiatrem i ukształtowaniem terenu, które stworzyło ścieżkę wirową [von Kármána](#).

VII. „Wyszej kategorii trudnosti”

Osiem lat po tragedii na stokach Cholat Sjakl Jurij Jarowoj, dziennikarz ze Swierdłowska napisał książkę pod tytułem „Wyszej kategorii trudnosti” ([ros.](#) „Высшей категории трудности”), opartą na wydarzeniach z pamiętnej lutowej nocy 1959 roku. Zebrał przy tym wiele dokumentów i zdjęć związanych bezpośrednio ze sprawą. 13 lat po premierze książki zginął w wypadku samochodowym. Cała dokumentacja zaginęła.

VIII Atypowość Otortenu oraz „Góry Śmierci”

Otorten to w języku Mansów „Nie idź tam”. Szczyt i jego okolice charakteryzują się rzekomo zmiennym polem elektromagnetycznym, a skały w tym rejonie mają wykazywać cechy akustyczne. Na całym obszarze przez lata miały miejsce podobne anomalie, a śmierć Diatłowa i jego grupy nie była jedyną niewyjaśnioną...

W 1961 roku na Północnym Uralu podobny los spotkał grupę studentów-geologów z Petersburga. Ludzie w panice wyskoczyli z myśliwskiej chaty i rozbiegli się w różnych kierunkach. Każdy z nich zginął w podobnej odległości od domku.

Na przełomie 1964 i 1965 miał miejsce jeszcze inny incydent. Grupa geologów wracała po stokach Cholat Sjaklu do bazy. Jeden z uczestników grupy – Polakow – udając się na polowanie w tajdze, nagle przeżył coś, co określał potem jako przyływ nieopisanego strachu i paniki – jak gdyby z lasu zbliżało się do niego coś straszego. Ukrył się w znalezionym przez siebie barłogu, gdzie odczekał dłuższy czas, aż przerażenie zdawało się minąć. Kiedy Polakow wrócił do bazy, okazało się, że jego koledzy nie żyją. Kierownik wyprawy leżał martwy twarzą do ziemi i z wystrzelonym pistoletem obok. Płonął namiot zerwany z haków i omotany wokół ciała jednego z geologów. Trzecia ofiara leżała obok drzewa. Czwartej nie było widać. Po krótkim śledztwie sprawę zamknięto, a śmierć członków grupy wytłumaczono „zepsutymi konserwami”.

Bardzo niedaleko - na przełęczy Purlachtyn-Sori („Przełęczy, która przynosi ofiary”) – odnaleziono ciała trójki studentów z Petersburga. Wszyscy leżeli twarzami do ziemi. Kolor ich skór był żółtawo-pomarańczowy.

Jesienią 1971 roku na brzegu jeziora Bałchasz odnaleziono pusty kuter, który należał do grupy biologów. Spośród pięciu znaleziono cztery ciała – każde na innym krańcu jeziora. Na statku wszystkie rzeczy pozostały na miejscu. Brak było jakichkolwiek śladów walki. Wyglądało na to, że dziesiątego września 1971 roku pięciu zdrowych mężczyzn z nieznanego do dzisiaj powodu rozebrało się i wskoczyło do lodowatej wody, by następnie popłynąć każdy w inną stronę.

Latem rok później w górach Alakit (Jakucja) zaginęła wyprawa złożona z 4 osób. Po odnalezieniu należącego do jej członków namiotu okazało się, że jego tylna ściana była rozpruta nożem. Ciała geologów odnaleziono w odległości około 3 km od obozowiska. Ich ubiór był w dużej mierze niekompletny.

W 1989 roku na Morzu Azowskim odnaleziono dwa zaginione statki należące do miejskiego klubu morskiego. Po załogach nie było śladu. Na pokładzie przy życiu pozostały tylko dwie osoby – ośmioletni chłopiec i siedemnastoletnia dziewczyna. Podczas przesłuchań żadne z nich nie potrafiło stwierdzić, co się stało. Spali, a doznawszy przypływu paniki, zbudzili się i zobaczyli porzrzucone rzeczy oraz pusty statek...

Podczas ekspedycji radzieckich studentów - 50 km na południe od obozowiska Diatłowa i jego towarzyszy – podróżowała inna grupa alpinistów. Jej członkowie opowiadali potem, że nocami na przełomie stycznia i lutego dało się zaobserwować na niebie w okolicach szczytu Cholat Sjakl tajemnicze, pomarańczowe kule. W 1990 roku kierujący śledztwem w sprawie Diatłowa Lew Iwanow przyznał, że ówczesne władze kazały mu zamknąć sprawę. Głównym powodem miały być coraz liczniejsze doniesienia świadków, wojskowych oraz pracowników meteorologicznych o obserwacji latających kul:

„31 marca o godzinie 04:00 dyżurny Meszieriakow zauważył duże ogniste koło, które w ciągu 20 minut zbliżyło się do nas, a następnie skryło za górę nr 800. Przed zniknięciem w środku koła pojawił się obiekt w kształcie gwiazdy, który następnie zaczął zwiększać się do rozmiaru księżyca, później opadać i oddzielać się od koła. Niezwykle zjawisko obserwowano wiele osób. Prosimy o wytłumaczenie tego zjawiska i czy jest niebezpieczne. Z naszego punktu widzenia robiło to niepokojące wrażenie.”

Iwanow, jak mówi, jest pewien, że dziwne kule miały związek ze śmiercią członków ekspedycji Diatłowa. Twierdzi on, że grupa studentów, ujrawszy kule, z przerażenia opuściła namiot. Podczas ucieczki miało rzekomo dojść do eksplozji (której źródło pozostawałoby nieznaną) i śmierci alpinistów.

Dużą styczność z górą Cholat Sjakl miał wspomniany na samym początku pilot Patruszew (ten sam, który w Wizaju odradzał Diatłowowi podróż). Jego żona mówiła później wielokrotnie o tym, że „Góra Śmierci” w dziwny sposób „przyciągała do siebie” jej męża-pilota:

„Mówił, że coś ciągle przyciągało go tam. W powietrzu często widywał świecące kule, a wtedy samolotem zaczynało trząść, przyrządy odmawiały posłuszeństwa, a głowa zaczynała potwornie boleć. Wtedy zmieniał kurs i wszystko wracało do normy. Później znowu tam wracał. Mi mówił, że niczego się nie boi, że nawet jeśli silnik przestanie pracować uda mu się wylądować (...).”

Według oficjalnej wersji wydarzeń Patruszew zginął podczas próby awaryjnego lądowania.

IX Pamięć po zmarłych

Po tragedii przełęcz, na której miał miejsce ów przedziwny horror, na cześć ekspedycji nazwano Przełęczą Diatłowa. Prócz tego, o wydarzeniach z 1959 roku przypomina również betonowy obelisk wraz ze zdjęciami i nazwiskami członków wyprawy.

Filip Świerczyński



SUPERBOHATEROWIE JAKO TWARZ AMERYKI

OSTATNIMI CZASY KINA I KSIĘGARNIE Z KOMIKSAMI NAWIEDZIŁA ISTNA FALA SUPERBOHATERÓW. WYTWÓRNIE TAKIE JAK MARVEL I DC COMICS ZŁAPAŁY WIATR W ŻAGLE I POCZUŁY, ŻE NADSZEDŁ RENESANS KOMIKSOWYCH POSTACI...

Taka prosperity wzięła się głównie z kasowych filmów, które zdobyły uznanie. Filmy „Iron Man”, „Kapitan Ameryka”, „Avengers” czy „Mroczny Rycerz” zrobiły furorę

szybko podbijając serca fanów, jak i zdobywając nowych odbiorców. Trudno się dziwić, że za ich sukcesem ruszyła sprzedaż komiksów – widzowie bardzo chcieli poznać wcześniejsze jak i dalsze losy filmowych bohaterów. Niedługo czekają nas nowe premiery – zbliżają się „Avengers 2: Age of Ultron”, sequel „Avengers”.



Szczególnie czterej bohaterowie są znani na świecie. Dwóch z wytwórni Marvela: Kapitan Ameryka i Iron Man/Tony Stark; dwóch kolejnych wywodzi się z DC Comics: Superman i Batman. Myślę, że te cztery, najbardziej popularne postaci walczące ze złem oddają różne oblicza Stanów Zjednoczonych. Warto im się przyjrzeć z bliska.



STEVE ROGERS



obrazuje prawdziwą historię od zera do bohatera. Chuderlawy, niski, lecz wielki sercem i duchem zyskuje szansę na udział w walce przeciwko III Rzeszy. Dzięki tajemniczemu serum staje się superżołnierzem – góram mięśni i siły, niepozabawioną ponadprzeciętną inteligencją. Postacią łączącą też cechy charakterystyczne dla Steve’a Rogersa. Kapitan Ameryka to postać jaką Ameryka chciałaby być – szlachetna, idealistyczna, pozbawiona uprzedzeń. Krajem, który otrzymał wielką szansę i stara się pomagać innym. Istny harcerzyk. Z ciosem miażdżącym ściany.



TONY STARK

to natomiast genialny wynalazca i multimilioner. Osoba, której zazdroszczą wszyscy – jedni inteligencji, drudzy sławy, trzeci bogactwa. Tony dzięki skonstruowanemu przez siebie kostiumowi jako Iron Man podejmuje walkę ze złem i występkiem. Przy okazji podbija akcje swojej firmie, gdyż nie kryje się ze swoją tożsamością. Nawet podaje swój adres! Ale kto bogatemu zabroni? Jest przy tym kontrowersyjny, nie ugina się pod presją systemu i wychodzi mu naprzeciw. Bezcelny multimilioner i gwiazdor. Prywatyzuje światowy pokój. Osoba z pierwszych stron gazet. Czyli osoba, którą mimowolnie Ameryka się stała i nieświadomie próbuje nią być. Ameryka musi być najważniejsza, musi być bogata, liberalna, nie schodzić ze światowego piedestału i z

czołówek gazet. Tony Stark to też kwintesencja amerykańskiej demokracji, przynoszącej złoćyńcom i osobom niesprzyjającym Ameryce kilkadziesiąt demokratycznych pocisków na sekundę.



BRUCE WAYNE

Kolejny bogacz na naszej liście to oczywiście **BRUCE WAYNE**. Milioner z tragiczną historią. Jego rodzice zginęli na jego oczach, zabici przez pospolitego przestępcę. Po tym traumatycznym wydarzeniu Bruce spędził lata na morderczym treningu, stworzył także postać superbohatera – Batmana. Jako Człowiek Nietoperz zwalcza przestępczość na ulicach Gotham City. Batman wyobraża swoiste rozdwojenie jaźni Ameryki. Z jednej strony Bruce Wayne osoba publiczna podobna Tony'emu Starkowi, z podobnym stylem bycia, z drugiej strony mroczny Batman jako element zemsty na przestępcach. Samo Gotham przypomina zaś miasta z lat 20, kiedy to ulicami rządili

gangsterzy. Co pokazuje, że Ameryka nie jest bezpiecznym, szczęśliwym miejscem, a mrocznym i pełnym zagrożeń.



Ostatnim bohaterem jest **CLARK KENT**, szerzej znany jako Superman. Trudno go dokładnie określić. Przybysz z planety Krypton, przypominający człowieka. Jednak posiada on unikalne na Ziemi zdolności, dzięki czemu staje się superbohaterem. Zaś pod przykrywką jest zwykłym dziennikarzem (aż dziw bierze, że go nikt nie poznał, skoro nie nosi maski, a majtki na wierzchu...). Myślę, że Superman to idea asymilacji i wspólnego losu. Każda osoba, niezależnie czy z kosmosu, czy z innych krajów, odnajdzie w USA uniwersalne wartości. Bez przeszkód może zacząć wszystko od nowa. Jest to kraj dla wszystkich. A przynajmniej tak brzmi oficjalna propaganda.



Oczywiście może brzmieć to trochę naciąganie. Zaraz ktoś zapyta, co reprezentuje taki Spider-Man – lobby pajęczaków w USA? Jednak uważam, że ci najpopularniejsi herosi mają swoje korzenie w postawie Ameryki – kim chce być, kim jest, co jej przyświeca, czego się obawia. Zatem superbohaterowie naprawdę reprezentują USA – prawdziwe oblicze Stanów Zjednoczonych ukryte na komiksowych kartach.

JAKUB DROŹDŹ



Prawo Śmiechem się stało

Wydawać by się mogło, że prawo to bardzo poważna gałąź naszego życia codziennego, gdzie króluje powaga i dostojeństwo. Jednak nic bardziej mylnego. W ramach odstresowania i oderwania od codziennej szarej rzeczywistości Zamoya prezentują krótką (a może nie) listę absurdów prosto z pozwów sądowych.

Zacznijmy od czegoś z warszawskiego podwórka. Kilka lat temu pewna kobieta oskarżyła jedną ze stołecznych pływalni, że została zapłodniona przez plemniki pływające w basenie. Warto tu przy okazji wspomnieć, że jest to również dość częsta przyczyna pozwów i skarg po zagranicznych wyjazdach, na których rzekomo w hotelowych basenach również dziarsko pływają plemniki. Cóż za niesamowita historia! Szkoda tylko, że chlor zawarty w basenowej wodzie jest dla nich zabójczy, a strój kąpielowy stanowi wyraźną barierę dla niechcianych gości. No, ale trzeba było spróbować.

Zupełnie inna historia dotyczy pewnej Amerykanki, która została potrącona przez samochód podczas uroczego nocnego spaceru poboczem autostrady. Po tym incydencie kobieta zaskarżyła firmę Google twierdząc, że gdyby nie zły system nawigacji w aplikacji Google Maps, nigdy by się tam nie znalazła. Kobieta ponadto pozwała także kierowcę, tłumacząc to faktem, że powinien uważać na ewentualne osoby idące skrajem drogi. Przypomnę: autostrady. Niestety, sąd nie uwierzył w potworną winę Google i pozwy oddalił.

Zabawnie natomiast rysuje się historia sprzed ponad 20 lat. Pewien Amerykanin zaskarżył firmę produkującą piwo Budweiser, że po wypiciu tego trunku nie pojawiła się przed nim tropikalna plaża z tańczącymi modelkami – jak to było przedstawione w reklamie. Co więcej, następnego dnia miał kaca. Wystąpił o odszkodowanie w wysokości 10 tysięcy dolarów za poniesione „silny emocjonalny stres, uraz psychiczny i straty finansowe”. Ku jego zapewne wielkiemu niezadowoleniu sąd pozew oddalił.

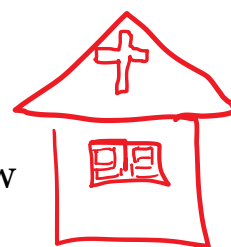




Kiedy indziej pewna kobieta wraz z koleżanką po porządnie zakrapianej alkoholem imprezie wybrały się w podróż do domu.

Oczywiście samochodem. W tym stanie wypadły z drogi i znalazły się w wodach zatoki. Druga kobieta, pasażerka, zdołała wypłynąć i uratować się. Jednak jej prowadząca koleżanka była zbyt pijana, żeby odpiąć pas i utonęła. Co zrobiła rodzina zmarłej? Oczywiście pozwała firmę Honda, bo taki samochód miała owa kobieta, za zaprojektowanie pasów bezpieczeństwa tak, że trudno je odpiąć w stanie upojenia alkoholowego. Cóż to za niewiarygodne przewinienie!


Przed sądem w Macedonii znalazła się kiedyś sprawa niedźwiedzia, który spustoszył pasiekę pewnego pszczelarza, powodując straty w wysokości kilkuset tysięcy dinarów. Sąd przyznał rację pszczelarzowi i nakazał misiowi finansowe pokrycie szkód. Ostatecznie, w wyniku ogłoszenia przez zespół biegłych niewypłacalności niedźwiedzia, do pokrycia szkód zostało zobowiązane państwo. A miś mógł się cieszyć małym co nieco zupełnie za darmo.

Jednak to nie jedyny przypadek pozywania (i skazywania) zwierząt. W średniowieczu sprawy oskarżania zwierząt przed sądami kościelnymi były wręcz na porządku dziennym. Za jeden z najbardziej absurdalnych przykładów uznałem pozwanie przez pewnego chłopca korników, które zżerały mu drewniany dom. Sąd po rozpatrzeniu sprawy wydał werdykt, w wyniku którego korniki miały, pod groźbą ekskomuniki, opuścić domostwo w przeciągu 7 dni. Rzecz jasna niewiele sobie z tego wyroku zrobiły, wobec czego owa ekskomunika została nałożona. Prawdopodobnie nie zmieniło to jednak ich zwyczajów, bo co zrobić, jeśli to drewno jest takie smaczne...





Istnym rekordzistą pozwów jest Jonathan Lee Riches. Był on więźniem odsiadującym swój wyrok w Oklahomie. Z nudów podczas swojej sześcioletniej odsiadki napisał przeszło 4000 pozwów, oskarżając wszystkich i o wszystko. Pozwał więc między innymi prezydenta Busha, Britney Spears, Steve'a Jobsa, ale także Platona i Hitlera (i oddzielnie jego „Mein Kampf”), jak również somalijskich piratów. Niestety nie sposób sprawdzić, czego dokładnie dotyczyły te pozwy. Natomiast powszechnie znany jest jego pozew przeciwko Księdze Rekordów Guinnessa, którą oskarżył o bezprawne wpisanie go na listę jako największego oskarżyciela na świecie. Widocznie nie zależało mu na rozgłosie.

Następny przypadek miał miejsce w Australii. Pewien surfer pozwał do sądu swojego kolegę, który rzekomo ukradł mu... falę. Twierdził, że mógł na niej wykonać najlepszy surf w życiu. Jednak sąd ten wniosek odrzucił argumentując, że surfer nie jest w stanie wycenić swoich strat moralnych wywołanych kradzieżą  fali.

Na koniec coś absurdalnego bardziej ze względu na efekt niż na samą treść pozwu. Pewna Amerykanka pozwała sieć McDonalds, ponieważ zadławiła się ością, która znajdowała się w Fishburgerze. Tymczasem nigdzie nie było informacji, że tam mogą być ości (sic!). Sprawa nabrała rozgłosu i wydawało się, że McDonalds będzie musiał zapłacić ogromne odszkodowanie w głośnym procesie. Wówczas prawnicy firmy udowodnili, że kobieta nie mogła się zadławić ością, ponieważ w Fishburgerze... nie ma ryby. Szczerze mówiąc nie wiem, czy nie lepiej byłoby zapłacić odszkodowanie, niż ujawniać takie rzeczy.



Mam nadzieję, że ten artykuł trochę poprawi Wam humor na starcie nowego roku i nowego semestru, odstresuje, trochę rozbawi i pozwoli rozluźnić się. Bo nigdy nie można się przestać śmiać i zapomnieć, że wokół jest tyle zabawnych rzeczy. Nawet, jeśli jest się w Zamoyskim.

 **MATEUSZ KUCHTA**



HISTORIA

RAPU

część 2

Wraz z nadejściem drugiej połowy lat osiemdziesiątych, popularność zarówno rapu, jak i ogólnie pojętej kultury hip-hop, wykazywała tendencję wzrostową. Wiązało się to między innymi z całkowitym opuszczeniem „podziemia” i rozpoczęciem propagowania nowej muzyki wśród szerszej publiczności, czemu sprzyjało ożywione zainteresowanie mediów.

Poszerzanie horyzontów: jazz rap

Zainteresowanie rapem zaczęli wykazywać również przedstawiciele odmiennych gatunków muzycznych, jak choćby np. legendarny jazzman Miles Davis, znany ze swojej ciekawości i otwartości na odmienne style muzyczne. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych nawiązał on współpracę z Easy Moo Bee, raperem z Brooklynu, którego kariera nabierała rozpędu. Celem było stworzenie płyty łączącej w sobie elementy zarówno jazzu, jak i hip-hopu – stanowiącej syntezę solówek Milesa na trąbce oraz zwrotek Easy Mo Bee, którą uzupełniają elektroniczne brzmienia o zabarwieniu nieco futurystycznym. Album okazał się sukcesem i osiągnął sporą popularność, pomimo iż nie został dokończony z uwagi na niespodziewaną śmierć Davisa w 1990 roku. Ostatecznie na płycie znalazło się 9 utworów: *Mystery*, *The Doo Bop Song*, *Chocolate Chip*, *High Speed Chase*, *Blow*, *Sonya*, *Fantasy*, *Duke Booty* oraz *Mystery* (skrócona wersja). Szczególnie ciekawy przykład płynnego i spójnego połączenia rapu i jazzu stanowi według mnie *The Doo Bop Song*. Jest to kawałek utrzymany w bardzo rozluźniającym klimacie, na którym flow Easy Mo Bee i trąbka Davisa nawzajem się uzupełniają i tworzą intrygującą całość. Płyta została wydana w 1992 roku, a wraz z nią coraz popularniejszą odmianą rapu stawał się „jazz rap”, lub też „jazz-hop”. Największymi propagatorami tego stylu w amerykańskim rapie byli członkowie formacji Gang Starr założonej w 1988 roku – Guru i DJ Premier. Od samego początku nie kryli oni swojego zafascynowania jazzem, któremu poświęcili nawet cały utwór – *Jazz Thing*. Pojawiają się w nim wzmianki o wielu sławach muzyki jazzowej, m.in.: Charlim Parkerze, Dizzym Gillespie, czy Billie Holiday. Poza poszerzaniem horyzontów, Gang Starr odegrał również ogromną rolę w szeroko pojętym rozwoju hip-hopu oraz gigantycznym wzroście jego popularności w latach 90-tych. Muzycy w swoich tekstach nie bali się przekazywać brutalnej prawdy, dotyczącej m.in. problemów społecznych, oraz podejmować tematów trudnych i kontrowersyjnych, lecz nie robili tego w tak agresywny i wulgarny sposób jak np. grupa N.W.A., o której będzie wkrótce mowa. Guru i DJ Premier nie wywoływali także większych skandalów, co było domeną niektórych raperów, np. Eazy-E z wspomnianego N.W.A.

N.W.A. i Public Enemy

Kolejnymi grupami napędzającymi rozprzestrzenianie się rapu i kultury hip-hop były N.W.A i Public Enemy. Pierwsza z nich została założona przez trio: Eazy-E, Ice Cube, Dr.Dre. W późniejszych latach dołączyli do nich także DJ Yella, MC Ren i Arabian Prince. N.W.A. od samego początku w swoich tekstach nie stroniło od przemocy, wulgaryzmów, seksu oraz agresji skierowanej przeciwko przedstawicielom sił porządkowych. W ich repertuarze można było znaleźć takie utwory, jak np. *Fuck the Police*. Umieeli oni jednak obrócić to na swoją korzyść, zaś olbrzymi szok i kontrowersje, jakie wywoływała ich twórczość, przełożyły się na sprzedaż płyt, a oni sami zostali uznani za prekursorów „gangsta rapu”. Ich teksty przy całej swojej brutalności opowiadały jednak prawdę na temat życia afroamerykańskiego marginesu społecznego, z którego wywodził się np. Eazy-E, który jako nastolatek zajmował się handlem narkotykami. Sam tak o tym opowiada: „Zanim zacząłem nagrywać płyty, interesowały mnie... no wiesz, narkotyki, gangsterzy. Te klimaty. Zdałem sobie jednak sprawę, że czas coś ze sobą zrobić, żeby nie skończyć martwym lub w więzieniu. Miałem już odłożone trochę kasy, postanowiłem więc włożyć te pieniądze w wytwórnię muzyczną.” Teksty N.W.A. stanowiły także pewnego rodzaju manifest oraz upust emocji i frustracji nagromadzonej przez wszystkie lata dyskryminacji ludności czarnoskórej na terenach USA.

Nieco łagodniejszy, lecz również niezwykle charyzmatyczny wizerunek można zaobserwować w formacji Public Enemy, która w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych stanowiła bezpośrednią konkurencję dla N.W.A. Grupa została założona bardzo wcześnie, bo już w 1982 roku przez Chucka D, Flavor Flawa i DJ Lorda. W swoich tekstach nie stronili oni od aspektów politycznych oraz poruszania problemów, z jakimi zmagало się środowisko afroamerykańskie. Wyraźnie zaznaczona była również krytyka mediów. Oto co ma do powiedzenia na ten temat sam Chuck D: „Muzyka to jedyny sposób dotarcia do czarnej młodzieży. Czarne radia nie chcą wziąć na siebie odpowiedzialności za nauczanie słuchaczy. System szkolnictwa nie został stworzony przez nas, nie mamy też kontroli nad telewizją. Jedynym sposobem dotarcia do ludzi jest więc muzyka. Jako muzycy jesteśmy odpowiedzialni za odpowiednie użycie tego kanału informacji, tak aby przekazać pozytywny obraz naszej kultury. A czarna społeczność jest w sytuacji wyjątkowej i muzyka to jedyny sposób na jej ratowanie”.

Public Enemy charakteryzowało również otwarcie na współpracę z przedstawicielami innych gatunków muzycznych. Nawiązali między innymi współpracę z grupą Anthrax, reprezentującą ciężkie brzmienia, czego efektem było nagranie piosenki *Shut em down!*. Wpływy rockowe uwidoczniły się w kilku ich utworach, m.in. jednym z największych hitów – *Harder than you think*.

2Pac i konflikt na linii Wschód-Zachód

W cieniu rywalizacji pomiędzy N.W.A. a Public Enemy swoją działalność rozpoczynał młody Tupac Amaru Shakur znany jako 2Pac. Jest on uważany za jeden z największych symboli złotej ery rapu lat dziewięćdziesiątych. Jak nikt inny, potrafił on w swojej twórczości przekazać prawdę o problemach społecznych, dotyczących przede wszystkim Afroamerykanów, mającej jednak także momentami przesłanie ogólne. Tupacowi popularność przyniosła druga płyta – *Strictly 4 My N.I.G.G.A.Z.*, która uzyskała status platynowej. Odkrył również w sobie talent aktorski, występując w filmach *Miasto Aniołów 2* oraz *Nad obręczą*. W obu rolach wcielał się w gangsterów. Szybki rozwój jego kariery przystopowało oskarżenie o gwałt, wniesione przez 19-letnią dziewczynę. Choć Tupac zdecydowanie zaprzeczał postawionym mu zarzutom, został wytoczony przeciwko niemu proces, który miał się odbyć na początku 1994 roku. Dzień przed rozpoczęciem rozprawy sądowej miało miejsce zajście, uznawane przez wielu za początek muzycznej „wojny” pomiędzy wschodnim a zachodnim wybrzeżem. Podczas pracy w studiu Tupac został pięciokrotnie postrzelony oraz okradziony, a za winowajców tego incydentu uznał dwóch raperów ze wschodniego wybrzeża – P.Diddy’ego, z którym od dłuższego czasu łączyły go wrogie stosunki, oraz Biggy’ego Smallsa (znanego także jako Notorious BIG), który dotychczas był jego bliskim przyjacielem. Tupac postanowił wyładować swoją frustrację pisząc utwór *Hit em up*, będący jednoznacznym dissem na Diddy’ego oraz Notoriousa. Doprowadziło to do eskalacji konfliktu pomiędzy wschodnim a zachodnim wybrzeżem, który od dłuższego czasu wisiał w powietrzu. Ze wschodu wywodzili się wspomniani Notorious BIG oraz P.Diddy nagrywający dla wytwórni płytowej „Bad boy records”, na zachodzie tworzyli zaś 2Pac, Dr.Dre i Snoop Dogg wywodzący się z wytwórni „Death Row”. Napięcie podwyższało ponadto zaangażowanie we wspomniany konflikt, jakie wykazywały niebezpieczne gangi, jak np. Crips z Los Angeles.

Do prześledzenia dalszego ciągu historii rapu oraz samego 2Paca i konfliktu Wschód-Zachód zapraszam w kolejnej części mojego artykułu, która ukaze się w przyszłym numerze Gońca Zamoyskiego. Ponadto przeniesiemy się także na rodzimą scenę hip-hopową.

Paweł Krzyżewski

Symfonia Zmysłów. Illusio

2. KONIEC I POCZĄTEK

Następny miesiąc minął tak szybko, że zanim zdążyłam się obejrzeć, już musiałam wyjeżdżać. Opuścić miejsce, w którym przeżyłam te wszystkie lata. Żegnać drogich mi przyjaciół, na których zawsze mogłam liczyć. Z trudem mi to przychodziło do głowy, nie chcąc tej myśli dostarczyć do mózgu i uświadomić sobie, że to koniec i początek nowego życia.

Ten czas przeznaczyłam na spędzanie czasu z osobami, których niedługo miałam pożegnać. Graliśmy w gry planszowe, rozmawialiśmy i wspominaliśmy zabawne sytuacje, które wydarzyły się w ciągu ostatnich, wspólnych lat, starannie unikając smutnych tematów.

Nadszedł dzień wyjazdu. Nie wiedziałam czy mam płakać czy się śmiać. Już zaczęłam tęsknić za tutejszymi znajomymi, ale byłam jednocześnie szczęśliwa z powodu takiego przebiegu wydarzeń.

Babcia i dziadek przyjechali o jedenastej. Ojca mojej mamy zobaczyłam po raz pierwszy.

Był drobnej postury, nieco przygarbiony. Miał gęste, białe włosy, nosił okrągłe okulary, a serdeczny uśmiech na wąskich ustach dodawał miłego blasku jego twarzy. Jego styl nie opierał się na elegancji i wysoko jakościowych ubraniach. Miał na sobie flanelową koszulę w czerwoną kratkę, workowate dżinsy oraz przewieszony przez ramię zielony plecak.

Wiedziałam o nim niedużo - inteligentny człowiek, prezes ogromnej firmy "Plaster" oferującej szeroką gamę ekologicznych miodów najlepszej jakości. Jako właściciel zdążył zbić już na niej fortunę.

Dziadek nazywał się Antoni. Antoni Koronka...

Nagle usłyszałam cichy szept wydobywający się z ust staruszka:

- Moja wnusia...

Wzruszona, podbiegłam do dziadka i powiedziałam tym samym tonem:

- Mój dziadziuś...

Już po pierwszym spotkaniu wiedziałam, że ta osoba jest moją "bratnią duszą". Gdyby ktoś się mnie spytał skąd to wiem, najnormalniej w świecie nie potrafiłabym na to pytanie odpowiedzieć. Po prostu to czułam.

Po powitaniu spojrzałam na swoich dotychczasowych współlokatorów. Przed domem stali wszyscy: Jurek i Marcin, którzy nagle stracili ochotę do wygłupów, bliźniaczki o szerokich uśmiechach i smutnych oczach, ciocia Monika i wujek Bartek, trzymający się ze ręce i oczywiście dwójka osób, która wyglądała na najmniej szczęśliwych: Oliwer i Maja. Wilk to jeszcze dzielnie się trzymał w porównaniu do Mai, która po prostu nie potrafiła powstrzymać łez. A tak, zapomniałam o pani Martynie, która chyba nie posiadała się ze szczęścia, ale przynajmniej była na tyle rozsądna, że moje pożegnanie skwitowała tylko drwiącym uśmiechem.

W tej chwili podeszła do mnie ciocia Monika u boku wujka Bartka. W rękach trzymała wielki wiklinowy koszyk ozdobiony czerwoną kokardą.

- To dla ciebie. Na pożegnanie i... spóźnione urodziny.

Przyjęłam podarek i wyściskałam moich (od dzisiaj) byłych opiekunów. Uśmiechali się od ucha do ucha, ale w ich oczach czaił się smutek.

- No, już, sprawdź co jest w środku! - zniecierpliwiał się wujek.

Zajrzałam pod puchaty kocyk w koszyku. Byłam zdumiona, ponieważ na moje kolana wskoczyło coś czarno-białego. Tym "czymś" okazała się mała suczka rasy husky. Popatrzyła na mnie błękitnymi oczami, przypominającymi błyszczące perełki. W tym spojrzeniu doszukałam się niepewności, ale także wrodzonej psiej mądrości. Poczułam na dłoni miękkiej języczek. Roześmiałam się, pieszczotliwie targając psinkę za ucho. Jej nazwaniem postanowiłam zająć się później. Teraz nie było na to czasu.

Potem podeszłam do drogich mi przyjaciół, mojej rodziny. Pożegnałam się z każdym z osobna. Maja uwiesiła mi się na szyi ze łzami w oczach.

- Lilia... Będzie mi ciebie brakowało.

- Spokojnie - szepnęłam jej do ucha. - Możesz mnie odwiedzać. I ja z pewnością nie raz tu się jeszcze zjawię. Tak często, że będziesz miała mnie dość - mrugnęłam.

- Ale teraz muszę już iść.

- Jasne, jasne. Chyba żartujesz - spojrzała na mnie sceptycznie. - Mieszkałam z tobą tyle czasu...

- No, tak. Pewnie już masz mnie dość.

- ...i nie zamieniłabym ciebie na nikogo innego.

Uśmiechnęłyśmy się do siebie.

- Obiecuję - dodałam.

Wzięłam suczkę na ręce i wsiadłam do babcinego auta. Machałam wszystkim, aż zniknęli mi z oczu.

Zalała mnie fala wspomnień. I tych bolesnych i tych radosnych. Skupiłam się na tych drugich.

Pamiętam, jak pierwszy raz przekroczyłam próg sierocińca. Co prawda, akurat ten moment nie był dla mnie najszczęśliwszy. Ale właśnie wtedy zostałyśmy z Mają przyjaciółkami. Już pierwszego dnia...

Weszłam do wyznaczonego mi pokoju, kładąc u stóp łóżka swoją błękitną walizkę i usiadłam na nim. Na drugim siedziała dziewczynka w moim wieku. Spoglądała na mnie ciekawie dużymi, czekoladowymi oczami. W drobnej ręce trzymała pyszne ciasteczko owsiane. Jak się później dowiedziałam, wszyscy dostawali je raz na tydzień. Tylko raz w tygodniu kucharka w "Leśnej Przystani" piekla ogromną, gorącą blachę ciastek. Co tydzień miały one inny smak: orzechowe, czekoladowe, z pomarańczową galaretką...

Jak już wspomniałam, tego dnia były to ciasteczka owsiane. Rozdawano je rano po śniadaniu, jedno dla każdego, więc dziewczynka widocznie zostawiła je sobie na później. Ja się tego dnia już nie zalałam.

Podeszła do mnie nieśmiało i zajęła miejsce obok. W dalszym ciągu milczałyśmy. Mimo że jej ciekawość była niemal namacalna, powstrzymywała się od zasypania mnie pytaniami. Dojrzała, nie tylko jak na ośmiolatkę. Po chwili obracania ciasteczka w kółko, przełamała je na dwie części i dalej nic nie mówiąc,

dała mi większy kawałek. Porozumiałymy się wzrokiem. W moich oczach na pewno zobaczyła wdzięczność. Wdzięczność nie tylko za ciasteczko. Potem już nie wytrzymała i objęła mnie i przytuliła, pozwalając, aby jej śliczna kwiatowa sukienka zrobiła się cała mokra...

Potem poznałam resztę paczki. W tym Oliwera. On i Maja stali się z biegiem czasu moimi najlepszymi przyjaciółmi. Nie zadawali mi zbędnych pytań. Wiedzieli, że jak będę chciała, to sama zacznę mówić. I odwrotnie. Zabawnie jest myśleć o tym w ten sposób. Byliśmy dopiero dziećmi. Jednak musieliśmy już wtedy pod pewnym względem dorosnąć. Nikt nie jest tak dobrym nauczycielem jak doświadczenie...

Westchnęłam. Już za nimi tęskniłam.

Po pięciu minutach zasnęłam - nie widziałam żadnego interesującego widoku za oknem. Jak okiem sięgnąć, widać było tylko: słup, drzewo, budynek, słup, drzewo, budynek... i od czasu do czasu niewielki zagajnik. Obudziłam się dopiero przed domem.

W pełni wyspana i rozbudzona, wyskoczyłam z samochodu i stanęłam naprzeciw jednopiętrowego budynku. Na zewnątrz wydawał się skromny, w kolorze szarości poprzetykanej bielą oraz z czarnym, porządnym dachem, połyskującym pod wpływem tańczących promieni słonecznych. Po lewej stronie widać było balkon. Aby wejść do środka, trzeba było wspiąć się po kamiennych schodkach i przejść przez staromodne drzwi. Babcia otworzyła je dużym, żelaznym kluczem. Jednak najbardziej osobliwym elementem była mosiężna kołatka z ozdobą w kształcie łba lwa, groźnie patrzącego na każdego, który choćby ośmielił się zerknąć w jego ślepią. Nie wiem dlaczego, ale poczułam się pod tym mosiężnym spojrzeniem trochę nieswojo, więc pospiesznie otworzyłam te ciężkie wrota z głośnym skrzypieniem.

- Trzeba je naoliwić - sapnął stojący za mną dziadek.

Rozebraliśmy się w przedpokoju przy akompaniamencie szczeków mojej psinki.

Przeszliśmy do salonu. Było to obszerne pomieszczenie o ścianach pokrytych zieloną tapetą w lilie. Pośrodku stała biała kanapa i takie same fotele. Między nimi ustawiono szklaną ławę. To wszystko rozmieszczono tak, aby można było wygodnie oglądać wielki telewizor. Schludnie ustawione szafeczki lśniły czystością. Poustawiane na nich, obok roślin w smukłych wazonach, zdjęcia brazylijskich atrakcji, wyglądały jak ujęcia z innego, kolorowego świata. Po niezwykle strojnych tancerzy i ilości ludzi na ulicach, domyśliłam się, że pochodzą one głównie z karnawału w Rio de Janeiro, najbardziej prestiżowej imprezy karnawałowej na świecie.

Moją uwagę przykuły też różnorodne obrazy, licznie porozwieszane po wszystkich kątach. Przeważały malownicze pejzaże, ale dostrzegłam również fragmenty bitew, wieczerze, czasami portrety lub obrazy religijne. Rozpoznałam między innymi reprodukcję secesyjnego obrazu Klimta "Pocałunek", renesansowej "Kobiety z lustrem" Tycjana czy "Narcyza" Caravaggia.

Najbardziej spodobał mi się portret młodej dziewczyny o jasnych włosach i chabrowych, rozmarzonych oczach. Wisiał on nad kominkiem, w rogu.

- To twoja matka, kiedy nie było cię jeszcze na świecie. A tu - wskazała palcem - twój ojciec - usłyszałam zza siebie cichy, lekko melancholijny głos babci.

Mój wzrok padł na portret mężczyzny. Tata był człowiekiem z krótkimi, kasztanowymi włosami i o bystrym spojrzeniu piwnych oczu. Zupełnie nie byli do siebie podobni. Jednak mieli ze sobą coś wspólnego. Na potrafiłam ująć tego słowami, ale można powiedzieć, że malarz trafnie oddał ich wspólny sposób patrzenia na świat. Nigdy nie poznałam mojego ojca i na myśl o tym poczułam dziwną pustkę.

- Powiesz te obrazki u siebie w pokoju, jeśli chcesz. - Obiecała mi babcia, mocno mnie przytulając. Pragnęła mi pomóc, widząc mój smutek.

- Chcesz zobaczyć swój pokój? - zawołał dziadek. Zamierzał widocznie rozładować atmosferę.

- Pewnie.

Mrugnął dyskretnie do babci.

- No to chodź za mną. Na górę.

Na schodach wciąż towarzyszyło nam mnóstwo obrazów. Jedne patrzyły na mnie groźnie zza złoconych ram, inne zapraszały do podziwiania swoją urodą. Byłam ciekawa czy w moim pokoju jest również tyle niesamowitości.

W końcu dotarliśmy. Przekroczyłam próg i ujrzałam... nic. Kompletna pustka. A dokładniej - nagie, białe ściany, okno i nic poza tym.

Nagle usłyszałam niepowstrzymany wybuch śmiechu. Uświadomiłam sobie, że przez cały ten czas stałam z szeroko otwartymi ustami, wlepiając oczy w nieurządzony pokój. Musiało to zabawnie wyglądać.

Po chwili na korytarzu śmiały się już trzy osoby: starsza pani i pan oraz osiemnastoletnia, długowłosa dziewczyna. I jeszcze ktoś: wtórował im czarno-biały pies.

W kwadrans zwiedziłam dokładnie cały dom: bibliotekę, dwie łazienki (jedną na dole, drugą - moją - na górze), sypialnię babci i dziadka, dużą kuchnię, pralnię, przestronny strych pełen najróżniejszych gratów oraz pokój gościnny, w którym mieszkałam w czasie meblowania mojego pokoju. Cały następny tydzień mieliśmy przeznaczyć na ten cel.

W poniedziałek wybraliśmy się na miasto, jeżdżąc od sklepu do sklepu meblowego w związku z kupnem łóżka, szaf i szafek. Jednak w pierwszej kolejności trzeba było wybrać tapetę. Zrobiłam to sprawnie - ciepła czerwień z powtykanymi gdzieniegdzie białymi różami, chropowata powierzchnia. Potem wybrałam sprzęty, które chciałam mieć u siebie. Zamówiliśmy je na środę, bo najpierw należało wytapetować ściany. Dziadek z moją pomocą uwinął się z tym we wtorek. Za to w czwartek zabraliśmy się za skręcanie mebli. Na następny dzień zostawiłam już sobie tylko ozdobienie mojego królestwa.

W efekcie końcowym pomieszczenie wyglądało całkiem niezłe. Ściany nie były już takie puste jak kilka dni temu. Na honorowym miejscu, nad łóżkiem, powiesiłam portrety rodziców. Samo łóżko o barwie ciemnego brązu, podobnie jak wszystkie meble, prezentowało się dość okazale ze stelażem w kształcie metalowych rurek powypłatanych w roślinne wzory.

Reszta mebli dopełniała ładnego wystroju wnętrza.

Na biurku leżał nowy laptop, a na jednej z szafek stał mały telewizor oraz przenośny odtwarzacz CD. Wieczorami, nie mając nic lepszego do roboty, czytałam książki w bibliotece, słuchałam muzyki, surfowałam po Internecie lub skakałam po kanałach. A przede wszystkim czekałam na rozpoczęcie drugiego tygodnia ferii, ponieważ wtedy miał przyjechać Wilk.

Rozmawiałam także z babcią i dziadkiem, którzy z każdym dniem stawali się mi bliżsi.

W końcu dowiedziałam się, jak dziadek ma zamiar kontrolować dalej swoją firmę po wyprowadzce z Warszawy. Wyjaśnił mi, że zamierzał oddać ją pod opiekę swojego młodszego zastępcy, zaufanego pracownika i bliskiego przyjaciela.

- A tutaj też masz zamiar pracować?

Dziadek miał już gotową odpowiedź.

- Tak. Będę ogrodnikiem. Bardziej z powodu wypełnienia czasu niż konieczności zarabiania pieniędzy.

Natomiast z babcią przeprowadziłam nieco inną rozmowę. Siedziałyśmy wtedy jak zwykle w kuchni, popijając świeżo zaparzoną herbatę. Wokół nas unosił się smakowity zapach pieczonego ciasta.

- Babciu, dlaczego wybraliście akurat ten dom? To znaczy nie chodzi o to, że jest zły... Wręcz przeciwnie - mnie się podoba, ale mogliśmy przecież mieszkać w Warszawie...

- Ach, to cię nurtuje! - Roześmiała się. - Widzisz, należał on do rodziców twojego ojca. On się w nim wychował i chodził do tutejszej szkoły.

- Naprawdę? - zaskoczona odwróciłam wzrok.

- Tak jest.

- Och...

Trzeba przyznać, że tym stwierdzeniem naprawdę mnie zaciekawiła. Spuściłam wzrok na parujący kubek i zapytałam nieśmiało:

- Znałaś go? Mojego tatę?

Wyraźnie było widać, że babcia nie jest skora do odpowiedzi. W końcu odpowiedziała z westchnieniem:

- Kochanie, musisz zrozumieć, że owszem, znałam twojego ojca, ale za nim wtedy nie przepadałam. Patrzyłam wówczas inaczej na wiele spraw. Nie podobało mi się, że twoja matka porzuciła przez niego swoje marzenia, mimo że były w zasięgu jej ręki.

Zrozumiałam, że babcia skończyła tę rozmowę, bo zamilkła, zapatrzywszy się nieruchomo w jakiś punkt. Bardzo chciałam dowiedzieć się więcej, więcej niż

w czasie naszej pierwszej rozmowy, ale chciałam również, żeby babcia sama mi to powiedziała, bez zmuszania jej do przywołania przykrych wspomnień wbrew jej woli. Dlatego na razie dałam temu spokój.

Po pewnym czasie potrafiłam już bez problemu odnajdywać z babcią i dziadkiem wspólny język, głównie dzięki ich pasjom.

Trudno to inaczej nazwać - pani Genowefa Koronka miała fioła na punkcie sztuki, co potwierdzało urządzenie domu. Potrafiła godzinami o niej rozprawić, jej twórcach oraz swoich wyprawach z nimi związanych, gdy tylko znalazł się jakiś życzliwy słuchacz. Zwykle tym „życzliwym słuchaczem” byłam ja, bo dziadek zawsze się wymawiał brakiem czasu. W rzeczywistości znał już te opowieści na pamięć, a w wielu z tych przygód sam brał udział.

On miał inne rzeczy na głowie, a mianowicie ogród. Nie był to żaden ogród warzywny, czy nawet sad. Jedyna w nim naprawdę pożyteczna roślina to wielkie drzewo, owocujące na jesieni orzechami włoskimi. Oprócz niego były tam jeszcze trzy wierzby mandżurskie, kilka świerków srebrzystych oraz ogromna ilość kolorowych kwiatów. Niestety nie mogłam teraz tych wszystkich cudów obejrzeć, gdyż były pokryte białym puchem. A jednak zobaczyłam je w fantazjach.

Dziadek o wszystkim tak realistycznie opowiadał, że bez specjalnych wysiłków usłyszałam śpiew słowika, poczułam zapierający dech w piersiach zapach róż, żonkili, dzwonków. A przede wszystkim te wspaniałości skąpane w promieniach zachodzącego słońca...

Obrazy lata wśród zieleni prześladowały mnie jak żywe w pochmurne wieczory. Już czułam się jak Mary w *Tajemniczym Ogrodzie*, a co dopiero będzie na wiosnę, kiedy kwiaty otworzą swe kielichy nie tylko w mojej wyobraźni.

* * *

W sobotę, jeszcze przed przyjazdem Wilka, postanowiłam odwiedzić nowych sąsiadów, czyli znajomych mojego przyjaciela.

Tak jak my, mieszkali przy ulicy Klonowej. Byli to państwo Jasmine i Michał Różańscy. Zajmowali tę posiadłość razem ze swoją córką Kaylą, moją rówieśniczką, i panią Danutą, ciężko schorowaną mamą pana Michała. To z jej powodu wrócili z Londynu do Polski na rok, mając świadomość, że choroba pani Danuty wchodzi już w końcowe stadium. Nie chcieli, aby te ostatnie chwile spędziła w samotności.

Najbardziej byłam ciekawa Kayli. Wilk mówił, że jest to sympatyczna dziewczyna, którą bardzo polubił.

O szesnastej stałam już pod okazałą posesją.

Obrośnięta z wielu stron poplątanym bluszczem, z zielonymi firankami i pryzmatami roztaczającymi wokół feerię barw, czarująco prezentowała się na tle potężnych, pólki co nagich drzew. Od czasu przyjazdu zauważyłam, że cała moja działka wręcz tonie w lesie. Albo będzie tonąć na wiosnę. Na razie tonie w śniegu.

Zapukałam delikatnie do drzwi. Nie musiałam długo czekać.

Otworzył mi mężczyzna niskiego wzrostu o bujnej, mahoniowej czuprynie, kocich oczach i szerokim uśmiechu. Jego ubranie składało się ze zwykłych, szarych dresów i żółtej bluzy w pomarańczowe palmy – o kilka rozmiarów za dużej.

- Witaj, panienko. Ty jesteś pewnie Lilia?

- Dzień dobry. Tak, proszę pana, to ja.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i wpuścił mnie do środka. Rozebrałam się i poszłam w jego ślady do następnego pokoju.

- Jasmine! Kaylo! – Zawołał w głąb domu. – Mamy gościa!

Znalazłam się w pomieszczeniu o bladoniebieskich ścianach i podłodze pokrytej fioletową wykładziną. Nad drzwiami wisiał zegar.

Po chwili ujrzałam na schodach smukłą sylwetkę w dzinsach i kolorowej tunice. Pani Jasmine poruszała się zgrabnie jak baletnica. Czarne włosy upięła w kok. Przyglądała mi się przyjaźnie.

- Dzielń doły! – Podąła mi rękę. – Kayla, where are you?

- Już idę! - Usłyszałam przytłumiony głos z góry.

Minutę później, obok pani Jasmine ukazała się jej córka. Była bardzo podobna do matki. Krótkie, proste i ciemne jak skrzydło kruka włosy, grzywka, oliwkowa cera i czekoladowe oczy – to ich wspólne cechy. Tylko twarz kobiety została nienagannie umalowana, a w przypadku Kayli – naturalność.

- Cześć! – Dziewczyna podbiegła do mnie tanecznym krokiem i uściskała jak starą znajomą. – Z pewnością zostaniemy przyjaciółkami. Przepraszam za swoje zachowanie, ale Oli... - urwała na chwilę, lekko się czerwieniąc - ...tyle o tobie opowiadał, że czuję się, jakbyśmy znały się już od dawna.

Pociągnęła mnie na piętro i zaprowadziła do swojego pokoju.

Wnętrze umeblowano skromnie, lecz jednocześnie elegancko, co nadawało mu niepowtarzalny urok. Ściany pomalowano na jasny błękit, a meble, które na pierwszy rzut oka wydawały się stare, w rzeczywistości przedstawiały sobą drewniane arcydzieła – stanowiły nie tylko element wyposażenia wnętrza, ale i ozdobę. Tutaj wykładziny nie było – zastępowały ją brązowe panele. Zauroczyła mnie jego atmosfera – tajemniczo i przytulnie.

Usiadłam na miękkich poduchach, zauważając pusty pokrowiec na gitarę.

- Zaraz wracam – rzuciła Kayla i wyszła. Nie pozwoliła mi na siebie długo czekać.

Zjawiała się z miską jeszcze ciepłego popcornu w jednej ręce, a w drugiej trzymała płytę.

- Oglądałaś *Dumę i Uprzedzenie*?

- Nie, ale czytałam.

- Podobała ci się książka? Jak chcesz, możemy obejrzeć coś innego.

Machnęłam ręką.

- Świetna. A w filmie genialna obsada, jak słyszałam. Włącz.

Pokiwała głową i zrobiła o co prosiłam. Potem zajęła miejsce po mojej lewej stronie.

- Lubisz czytać? – Zagadnęłam z czystej ciekawości.

- No... tak. Ale zależy co – mruknęła po chwili niepewnie.
- Co to znaczy? – Pomyślałam, że chodzi jej o czasopisma dla nastolatek, komiksy, czy coś w tym stylu. Dlatego jej odpowiedź mnie zaskoczyła.
- Proza nie jest moją pasją. Wolę... poezję – przyznała i spuściła głowę, jakby obawiając się, że ją wyśmieję. Nic takiego nie nastąpiło. Nie widziałam w tym nic zabawnego. Nabrałam do niej jedynie pewnego rodzaju szacunku. Pod tym względem nie okazała się drugą Mają, uwielbiającą wszelkiego rodzaju gazetki o modzie - dużo obrazków, mało tekstu. Ktoś mądry wypowiedział kiedyś takie słowa: o gustach się nie dyskutuje. I miał rację.

Oglądałyśmy film w milczeniu. Czasami dodawałyśmy jakieś komentarze. Był niezły, ale nadal obstawałam przy książce.

Za to po seansie bardziej się ożywiłyśmy. Gadałyśmy jakbyśmy naprawdę znały się od dawna. Dużo się o Kayli dowiedziałam, a ja również opowiedziałam trochę o sobie i swojej rodzinie. W jej mowie dało się wyczuć brytyjski akcent, ale polski sam w sobie opanowała perfekcyjnie.

Dziewczyna lubiła słuchać różnych gatunków muzyki i ją... grać. Chodziła do szkoły muzycznej, gdzie uczyła się gry na pianinie i gitarze. Obiecała, że postara się nauczyć mnie na nich grać, szczególnie na gitarze. Pomogła mi nawet wybrać imię dla mojej suczki. Nazwałyśmy ją Roxy.

Ja jej za to opowiedziałam o Mai, dwóch znanych mi młodych sportowcach i uroczych bliźniaczkach. O mojej byłej szkole, o dobroci cioci i wujka... I o mamie. O mojej żyjącej mamie. Jednak temat jej śmierci nie był też Kayli obcy.

Potem przeprowadziłyśmy rozmowę, która w pewien sposób wyprowadziła mnie z równowagi. Kayla wspomniała coś o... aktorstwie.

- Szkoła aktorska? Nie... To nie dla mnie.

- Dlaczego nie? Pomyśl, jakby ucieszyła się twoja mama, gdyby tu była...

- Ale jej nie ma – ucięłam z lodowatym spokojem. Zamilkła na moment.

- Zrób, co uważasz za słuszne. Ja... Chciałam ci tylko pomóc. – Tym razem w jej głosie pobrzmiwał sam smutek.

- Wiem – westchnęłam. – I przepraszam, że jestem nie do wytrzymania.

Uśmiechnęła się współczująco.

- Daj spokój. Nie jest jeszcze tak źle. Chociaż... - Zmrużyłam oczy. – Chociaż tyle wycierpiałas, dałaś radę przeżyć bez... rodziców. I mimo wszystko mieć nadzieję na lepszą przyszłość. Po prostu cieszyć się chwilą. Wiem, że nie znamy się zbyt długo – w tym momencie obie nie mogłyśmy nie zachichotać – przecież po raz pierwszy zobaczyłyśmy się niecałe trzy godziny temu. – Ale wiele, jak już wiesz, o tobie słyszałam. Od Oliwera. Jesteś naprawdę silna.

- Ehm... Dzięki – odparłam zmieszana. I zrozumiałam, że nie zaszkodzi spróbować. Wystarczy tylko szczypta odwagi.

Dochodziła dziewiętnasta, więc musiałam się pożegnać, by zdążyć na kolację.

Wracałam do domu pełna bezgranicznej pewności, że znów ktoś podzielił się ze mną ciasteczkami.

Natalia Kossakowska



Kącik językowy Daniel Klimowicz

POLSKI: Szczęśliwego Nowego Roku!



Angielski: Happy New Year!



Niemiecki: Glückliches Neues Jahr!



Francuski: Bonne Année!



Hiszpański: Feliz año nuevo!



Włoski: Felice Anno Nuovo!



Czeski: Šťastný Nový rok!



A oprócz tego....

Węgierski: Boldog Újévet!

Norweski: Godt nyttår!

Suahili: Heri Ya Mwaka Mpya!

Łacina: Felix sit annus novus!

Rosyjski: Счастливого Нового Года! [szastliwego nowego goda]

Łłote usta

„Uczeń: Dzień dobry.

Profesor Szul: Ach, dzień dobry. A więc pogłoski o pana odejściu są przesadzone.

Uczeń: Odejściu z tej klasy czy odejściu w ogóle?

Profesor Szul: No wie pan..."

~ profesor Szul do ucznia po tygodniu jego nieobecności

„Może i nazywać się Andrzej, bardzo lubię facetów... [po chwili] Ale wiesz, Mateuszu, nie bardzo, samica raczej nie może się tak nazywać."

~ profesor Marzena Domarecka o patyczaku mieszkającym w sali biologicznej

„Profesor Domarecka: Jędrzej, ręce do góry!

Klasa: [śmiejch]

Uczeń: Słucham?

Profesor Domarecka: Poddaj się!"

~ profesor Marzena Domarecka do ucznia; w kontekście doświadczenia

„[dzwonek telefonu]

Profesor Kozłowski: Oświeć mnie, Kasiu, co to?

Uczennica: Maanam.

Profesor Kozłowski: A piosenka?

Uczennica: >>Żądza pieniądza<<.

Profesor Kozłowski: Ach, znam to..."

~ profesor Leszek Kozłowski do uczennicy, której nieopatrznie zadzwonił telefon

„Żony odciążały rządzących od spraw codziennych. Nie sądzę, by wybranka Klejstenesa wołała: >>Klejstenesie, wynieś śmieci!<<..."

~ profesor Leszek Kozłowski o roli kobiet w poleis greckich

„Uczeń: Proszę Pana, ta piłka jak jest twarda?

Profesor Szul: Życie jest twarde..."

~ profesor Tomasz Szul

„Emilia! Hej! Popatrz, zadanie policzyłem!"

~ profesor Adam Skalmierski

Zapadły wam w pamięć inne teksty naszych nauczycieli?

Wysyłajcie je na naszego e-maila goniec.redakcja@gmail.com

lub na Facebooka: [facebook.com/goniec.zamoyski](https://www.facebook.com/goniec.zamoyski)

